

Stare i nowe dylematy socjologa

Miło mi, że mogę powitać Państwa w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. Przede wszystkim pragnę pogratulować - dokonanych wyborów, to znaczy kierunku studiów i uczelni. Oba one dowodzą, że podjęli Państwo ambitną próbę zgłębiania tej najważniejszej bodaj obecnie dyscypliny na niewątpliwie najlepszej dla tego celu uczelni w kraju.

Ponieważ jeśli chodzi o drugą z wymienionych decyzji, to zbyteczne są jakiegokolwiek komentarze, skupię uwagę na pierwszej. Wskazuje ona, moim zdaniem, na trafne rozeznanie aktualnej sytuacji, która wymaga zaangażowania określonej wiedzy dla poznawania, rozumienia i rozwiązywania problemów społecznych. Wymaga więc tym samym ludzi dysponujących w pełni profesjonalną znajomością rzeczy, praktycznymi umiejętnościami i tym, co bodaj najważniejsze a co nazywa się wyobraźnią socjologiczną.

czemu wymyślono socjologię

Znane przysłowie mówi, że źle czułby się lekarz, gdyby wszyscy czuli się dobrze. Dokładnie tak samo rzecz się ma z socjologami. Gdyby wszystkie sprawy ludzkie szły gładko, zapewne nie wynaleziono by w ogóle socjologii i my wszyscy

tutaj musielibyśmy się zajmować czymś zupełnie innym. Socjologia jednak powstała, a narodziła się w bardzo szczególnym momencie. Otóż był to okres, kiedy stare formy życia społeczeństw zaczynały ulegać rozpadowi, gdy zaznaczył się kryzys porządku opartego na dawnych obyczajach, sankcjonowanego wierzeniami religijnymi i uważanego za trwałe i niepodważalne.

Nowy kształt życia społecznego, jaki zaczął wyłaniać się w efekcie przemian, rewolucji i (szeroko pojętej) modernizacji był zaprzeczeniem czasów minionych. Na miejsce stabilnego ładu niewielkich wspólnot, kierujących się własnymi, partykularnymi tradycjami zaczęły wkraczać mechanizmy nowoczesności, charakteryzujące się ciągłą zmiennością, dynamiką, kwestionowaniem zastanych autorytetów, burzeniem istniejących hierarchii społecznych i dążeniem do oparcia wszystkiego na racjonalnej kalkulacji i interesie. Od tej pory Rozum, jeden i ten sam dla wszystkich, zaczął wyznaczać kierunek przemian określanej jako postęp, rozwój, ewolucja.

Zrodzona w takich okolicznościach socjologia miała więc za zadanie rozpoznawać charakter przemian, łagodzić skutki rozpadu dawnych form życia i torować drogę nowym – jednym słowem miała być promotorem, moderatorem i akuszerem epoki nowoczesnej.

Gdyby spróbować przedstawić najzwięźlejszą diagnozę czasów obecnych, naszego polskiego „tu i teraz”, widać wyraźnie, że transformacja, którą rozpoczęliśmy dobrą dekadę temu, jest właśnie okresem bardzo głębokich, niejednokrotnie burzliwych przemian, najczęściej rozumianych jako „doganianie bardziej rozwiniętych krajów Zachodu”.

Oczywiście, nadrabianie zaległości wymusza pośpiech i nie zawsze zostawia czas na wypracowanie własnych oryginalnych (zgodnych z historią i mentalnością danego narodu) dróg dojścia do celu. Dlatego też zapewne owa wtórna, naśladowcza modernizacja okazuje się dla społeczeństwa tak przykra i przysparza mu tylu cierpień. Badacze ukuli nawet charakterystyczne określenie dla oddania dramatycznych konsekwencji zachodzących obecnie w naszym kraju przemian. Stosują oni mianowicie termin: „trauma”, mówią coraz częściej o „traumie wielkiej zmiany”. Słowo to można wszakże rozumieć co najmniej dwojako. Jeśli zastosować etymologię wywodzącą je z łaciny, oznaczać ono będzie rzeczywiście bolesne, właśnie traumatyczne przeżycie. Jeśli jednak sięgnąć na przykład do języka niemieckiego, okaże się, że „traume” to tyle, co sen, marzenie. Można by więc zaryzykować interpretację opartą na grze słów i powiedzieć, że oto na naszych oczach marzenie o wielkiej zmianie przerodziło się w cierpienie wielkiej zmiany. Ale można również próbować pogodzić te dwa wyjaśnienia,

odwołując się do ironicznej uwagi Profesora Jana Szczepańskiego o tym, że czasami obserwując tę transformację po polsku odnosi się wrażenie, iż jest to formowanie czegoś nowego w stanie transu, a więc w stanie niepełnej poczytalności. Wówczas tłumaczenie zachodzących procesów jako nader dolegliwych w swych skutkach majaków sennych byłoby bodaj najkompletniejszą charakterystyką aktualnej polskiej rzeczywistości. Tak czy inaczej socjologii przypada ponownie rola narzędzia osvajania, tłumaczenia i łagodzenia bolesnych doświadczeń; okazuje się ona po raz kolejny dyscypliną szczególnie predestynowaną do tego, by odgrywać znaczącą rolę, a socjologom zapewnić eksponowaną pozycję w społeczeństwie.

I na tym stwierdzeniu kończą się moje refleksje optymistyczne. Teraz muszą przed Państwem roztoczyć perspektywy trochę bardziej ponure i zasiać w ich umysłach zwątpienie, a w sercach – obawy. Spróbuję zatem zasygnalizować pewne istotne niedostatki dyscypliny po to, aby uświadomić niebezpieczeństwa, jakie czyhają na tych, którzy ich nie dostrzegają bądź je lekceważą.

czy socjologia jest prawdziwą nauką

Mówiąc o socjologii jako przedmiocie wykładanym na uniwersytecie, mamy oczywiście na myśli określoną dziedzinę

nauki. Oczekujemy więc, iż studiując ją przyswoimy sobie usystematyzowany zestaw w miarę prawdziwych twierdzeń opisujących rzeczywistość społeczną – czyli wiedzę. Po drugie, żywimy nadzieję na opanowanie wypróbowanych sposobów poznawania tej rzeczywistości – czyli metod badawczych. I wreszcie jesteśmy przeświadczeni, że dzięki temu wszystkiemu osiągniemy krzepiące poczucie jasności co do sprawy zupełnie zasadniczej: czym jest społeczeństwo. Dla osób o nastawieniu bardziej praktycznym będzie to równoznaczne z przekonaniem, iż zdobędą tym samym coś na kształt zestawu poręcznych narzędzi (wraz z przystępnie sformułowaną instrukcją obsługi), które można stosować z pełną gwarancją sukcesu, że dysponują oto zbiorem recept skutecznego działania czy też – jak to się dziś mówi – „zarządzania zasobami ludzkimi”.

Otóż pragnę Państwa zapewnić, że niczego takiego nie znajdą na socjologii w wydaniu uniwersyteckim. Socjologia nie ma bowiem do zaoferowania żadnych, raz na zawsze ustalonych prawd ani absolutnie pewnych dróg wiodących do tego celu. A na pewno nie jest zestawem dla majsterkowicza – amatora eksperymentów ze społeczeństwem. Studiowanie socjologii bardziej natomiast przypomina terminowanie adepta sztuki poetyckiej, opisane przez Norwida. Tu również jedynie na początku można formułować buńczuczne sądy o tym, że „ziemia jest krągła, jest kulista”. Stopniowo poziom asercji, z jaką

wypowiada się te słowa maleje i wreszcie przychodzi taka chwila, gdy trzeba przyznać, że ziemia owa „u biegunów jest spłaszczona nieco”. Jak widać, nie tylko w poezji problemem jest „odpowiednie dać rzeczy słowo”. Ta zasada obowiązuje także w naukach społecznych, a może nawet zwłaszcza tam, gdyż przedmiotem poznania jest w nich bierna biernością przedmiotu rzeczywistość, nad którą, jak pisała Stefania Skwarczyńska, tak łatwo może zapanować nadmiernie wybujała i ekspansywna osobowość badacza. Co zaś tyczy się kandydatów na inżynierów społecznych i tak zwanych ekspertów (które to hobby ostatnio bardzo się u nas upowszechniło) sądzę, iż byłoby dobrze, gdyby produkując swoje fachowe diagnozy i rekomendacje - skoro już muszą to robić - zechcieli łaskawie opatrywać je terminem przydatności do spożycia. Zbyt często mamy bowiem w naszym życiu publicznym do czynienia z sytuacją taką, jak ta z tekstu Wojciecha Młynarskiego o popsutym telewizorze: „fonia aż huczy, tylko wizji nie ma”. Cierpimy raczej na nadmiar pomysłów, problem tylko w tym, że choć wygłaszane gromko, szybko tracą aktualność.

Wszystko, co do tej pory powiedziałam, miało uzmysłwić Państwu, że socjologia jest z gruntu inną nauką (jeśli w ogóle jest nauką, a nie na przykład – rodzajem sztuki), niż tak zwane nauki ścisłe i przyrodnicze. Tam bowiem mamy do czynienia z

ciągłą kumulacją wiedzy, z eliminowaniem błędnych przekonań, udoskonalaniem metod i z możliwością praktycznego wykorzystania efektów badań. W socjologii - przeciwnie. Pojawianiu się nowych teorii towarzyszy stała fascynacja myślą dawnych mistrzów (Platona, Arystotelesa) i klasyków (Durkheima, Spencera). Zamiast harmonijnego rozwoju i postępu napotyka się tu przemijające mody na kierunki, orientacje, metody, nawet poszczególne techniki badawcze. Natknąć się więc można tutaj na szacowną socjologię akademicką, ale obok niej na socjologię radykalną, refleksyjną, zdroworoządkową (czyli potoczną) a nawet na socjologię absurdu.

W miarę trwały okazuje się jedynie podział na dwie podstawowe frakcje, dwa wojujące ze sobą plemiona: socjologów „ilościowych”, którzy najchętniej obserwują z boku, co ludzie robią i socjologów „jakościowych”, którzy przysłuchują się temu, co ludzie mówią a nierzadko sami włączają się do tej rozmowy. Pierwsi próbują wyjaśnić funkcjonowanie społeczeństwa, starając się przy tym zachować dystans i obiektywizm. Drudzy pragną przede wszystkim zrozumieć społeczeństwo uwzględniając to, co sami ludzie myślą o sobie. O ile jedni znajdują upodobanie w dużych próbach reprezentatywnych, w technikach statystycznych, metodach „twardych” i danych „chudych”, skrupulatnie

odcedzonych z potocznych interpretacji (według terminologii Watkina, brytyjskiego filozofa nauki), o tyle drudzy preferują styl bardziej kameralny i zadowalają się studiami poszczególnych przypadków, które zgłębiają przy pomocy metod „miękkich”, kierując uwagę na dane „tłściejsze”, a więc już jakoś zinterpretowane przez samych badanych. Symbolem pierwszych mogłaby być luneta, drugich - mikroskop, jak to określała Profesor Antonina Kłoskowska.

Socjologowie „twardzi”, obiektywni, nastawieni scjentyście uważają ze swojej strony, że badania ich kolegów, całe to „notowanie przypadkowo zasłyszanych banalnych rozmów prowadzonych przez rozmaitych półgłówków i pijaków” (Andreski) to czysta strata czasu. Socjologowie „miękczy”, rozumiejący, humanistyczni rewanżują im się sceptyczną uwagą, że „prawidłowości liczb da się wszędzie i zawsze osiągnąć, choć o prawidłowości podciągniętych pod te liczby faktów mowy nie ma” (Gumplowicz). Ot, jak to bywa w jednej wielkiej, kochającej się rodzinie.

Co więcej, socjologowie potrafią nie tylko spierać się bez końca o to, co badać i jak badać, ale nawet o to, czym jest to, co chcieliby (tak czy inaczej badać) i - czy to coś w ogóle istnieje. Dla mnie osobiście wciąż fascynującym przykładem rozważań nad kluczowym zagadnieniem nauk społecznych, a mianowicie

nad kwestią: czym jest społeczeństwo, jaki to rodzaj bytu, jakie to atrybuty mu przysługują, są analizy Czesława Znamierowskiego. Zapytywał on następująco: czy słusznie czynimy formułując sąd w rodzaju „stado ptaków szybuje na południe”, skoro szybować może tylko to, co ma skrzydła, ogon, dziób a stado - jako żywo - nic takiego nie posiada. A zatem, (rozumując analogicznie) czy słusznie czynimy mówiąc, że społeczeństwo czegoś dokonuje, wyraża jakieś opinie, opowiada się za lub przeciw czemuś, coś odczuwa lub za coś... przeprasza? Przecież nie jest to byt wyposażony w stosowne organy służące wykonywaniu takich czynności a tym bardziej nie ma świadomości, duszy ani sumienia, nie posiada żadnego „wspólnego sensorium właściwego jednemu żywemu organizmowi”. A więc: jest społeczeństwo, czy go nie ma? Badamy społeczeństwo czy może tylko kolejnych Kowalskich? Ale w takim razie, jakim prawem z tych odnoszących się do jednostek sądów budujemy sądy o społeczeństwie zakładając, że ono istnieje, choć może wcale go nie ma.

Przywołana tu charakterystyka dyscypliny (bardzo skrótowa, ogólna i, jak Państwo z pewnością zauważyli, sformułowana w konwencji „semi-buffo”, czyli „pół żartem, pół serio”) w pełni uzasadnia opinie wygłaszane na jej temat. Twierdzi się więc, że socjologia jest właśnie taką dyscypliną, która musi ciągle zaczynać od nowa, rewidować własne

założenia, nawracać do zaniechanych kiedyś koncepcji, a więc jej przeznaczeniem jest pozostawać wiecznie młodą (Max Weber) - trudno to mimo wszystko uznać za komplement. Inni formułują tę myśl bardziej dosadnie i wytykają socjologii amnezję (co nie jest raczej atrybutem młodości), gdyż zapomina o tym, co już osiągnęła i z uporem powtarza fundamentalne pytania zamiast ustaliwszy coś raz na zawsze, iść do przodu. Bardzo często stosuje się też w odniesieniu do socjologii dość eufemistyczne określenie „wieloparadygmaticzna” (czyli stosująca jednocześnie wiele podejść badawczych) bądź wręcz mówi się, że pozostaje ona permanentnie w stanie chaosu, że pogrążona jest w chronicznym kryzysie.

Pozwolę sobie w tym miejscu na małą dygresję. Ilekroć słyszę o tym, że kryzys w naukach społecznych jest jakoby ich stałą cechą, stanowi niejako ich przeznaczenie, przypomina mi się historia pewnej damy, opowiedziana przez Balzaka. Otóż dama ta cierpiała ciągle na jakieś dolegliwości, z jednej choroby przechodziła w inną tak, iż kiedy wreszcie ozdrowiała i chwilowo nic jej nie było, pomyślała, bidulka, że to po prostu nowa, nieznaną jej jeszcze choroba o dziwnych objawach. Być może tak samo rzecz się ma z naszą socjologią. Podejrzewam, że czasami zdrowieje i nabiera nawet niezłej kondycji, tylko my tego nie zauważamy.

Nie rozstrzygniemy teraz wszystkich tych, zasygnalizowanych tu za ledwie problemów i kontrowersji, a nawet - mam nadzieję - że także za 5 lat zamiast zadowolić się jakąś zgrabną formułką pozornie wyjaśniającą wszelkie wątpliwości w tej materii, będą Państwo woleli od czasu do czasu czynić te zagadnienia ponownie przedmiotem namysłu, a przynajmniej czynić z nich pretekst do gimnastyki intelektualnej. W tej chwili miały one jedynie posłużyć za przykład dylematów nękających socjologów od dawna i sporów, jakie na tym tle się wywiązują. Teraz zaś chciałam przedstawić kilka dylematów wiążących się z naszymi polskimi realiami chwili obecnej i z wypływającymi stąd konsekwencjami dla nauk społecznych czy raczej - dla sposobu uprawiania nauk społecznych.

dylematy socjologa środkowoeuropejskiego

Sądzę, że właśnie dzisiaj warte przypomnienia okazują się słowa Spinozy, który przystępującym do badania spraw ludzkich radził: „non ridere, non lugere, neque detestari, sed intelligere” - „nie wyśmiewać, nie opłakiwać i nie potępiać, lecz zrozumieć.”

Dlaczego wybieram tę formułę, a nie znacznie częściej przywoływane hasło „wolności od wartościowania” Maxa Webera? Wydaje mi się, że sentencja Spinozy kryje w sobie

więcej niż tylko złudny postulat zawieszenia własnych wartościowań, preferencji moralnych, opcji politycznych. Myślę, że nawet pozwala nam je zachować pod warunkiem, że nie uczynimy z nich niegodnego użytku. Nie oznacza więc wyjałowienia badacza z wszelkich „ludzkich” zapatrywań, z tego co stanowi treść życia innych ludzi wokół niego, a tylko umiejętnie je kanalizuje, przekształcając w – także przecież bardzo ludzkie - pragnienie poznania.

Wolę posłużyć się takimi słowami niż sięgnąć po nadmiernie eksploatowane zalecenia relatywizmu i tolerancji, które nakazują już nie tyle powstrzymywać się od ferowania ocen, ale wręcz na równi traktować wszelkie przejawy kulturowo i społecznie określonego bytowania ludzi. Tak się jednak dziwnie składa, że zasada ta (na co swojego czasu zwrócił uwagę E. Gellner, brytyjski antropolog) stosowana bywa bardzo niesymetrycznie. W praktyce badacze podchodzą bowiem niejednokrotnie z entuzjazmem do obyczajów przysłowiowych tubylców z wysp Hula-Gula (nawet jeśli są to wyjątkowo krwiożerczy kanibale), za to z ogromnym rygoryzmem odnoszą się do uchybień członków własnego społeczeństwa, piętnując ich rozmaite wady czy choćby tylko słabostki i niedociągnięcia. Zupełnie tak, jakby zasada relatywizmu i tolerancji nabierała mocy wprost proporcjonalnie do odległości badacza od obiektu jego badań.

Dla mojej decyzji zdystansowania się od ideału tolerancji nie bez znaczenia są też wyniki niedawno przeprowadzonych przez Profesor Hannę Świdę-Ziębę badań, które wykazały, że postawy tolerancyjne wcale nie są najczęstsze wśród osób o najwyższym poziomie wykształcenia i zamieszkujących największe miasta, lecz raczej wśród ludzi gorzej wyedukowanych i mieszkańców małych miasteczek oraz wsi. Skoro więc ten naczelny ideał otwartego, liberalnego i demokratycznego społeczeństwa okazuje się nagle elementem syndromu prowincjonalnej, by nie powiedzieć - zaściankowej mentalności, trudno zachwalać go z dotychczasowym zapalem, zwłaszcza w szacownych murach wyższej uczelni. Najwyraźniej coś musi być nie tak z naszym dotychczasowym rozumieniem lub praktykowaniem owej cnoty.

Zalecenie Spinozy, które przywołałam powyżej, czyni natomiast możliwym zachowanie pewnej ważnej cechy poznania naukowego, które (moim zdaniem) nie podpada pod dychotomię: „obiektywizm” - „subiektywizm”, ani „neutralność” versus „zaangażowanie” czy tym bardziej „stronniczość”. Na trop tego odmiennego, rzekłabym mistycznego a nie sejentystycznego pojmowania nauki naprowadza nas fragment siódmego listu Platona, w którym filozof pisze: „ten, kogo nie łączy z przedmiotem więź pokrewieństwa, nie uczyni widzącym ani łatwość przyswajania

wiadomości, ani dobra pamięć; zasadniczo bowiem nie przyjmuje się ten przedmiot na gruncie obcej sobie natury.”

Zastanówmy się przez chwilę nad tą opinią, wszak wypowiedział ją nie byle kto i do tego w liście najbardziej osobistym i przejmującym ze wszystkich, jakie pozostawił. Czy można więc poznać coś, co jest nam zupełnie obce? Czy można zrozumieć coś diametralnie różnego od nas samych? Czy można pojąć, to, czego nie przybliża powinowactwo, zażyłość, od czego nawet dystansujemy się, co potępiamy?

Jeżeli z tego punktu widzenia przysłuchać się toczonemu obecnie w naszym kraju dyskursowi publicznemu, przekonamy się łatwo, jak wiele w nim zjawisk napiętnowanych przez Spinozę: szyderstwa, wyrazów ubolewania, wytykania społeczeństwu rozmaitych braków przez tak zwane elity opiniotwórcze, o politykach nie wspomnę. Społeczeństwo polskie jawi się tu jako zacofane, ksenofobiczne, rasistowskie, pełne megalomanii ale za to wyzbyte elementarnych, godnych Europejczyka „kompetencji cywilizacyjnych”. Ostatnio w roli negatywnego bohatera tego dyskursu obsadzani są mieszkańcy wsi, zwłaszcza rolnicy - polscy chłopci. Ich główną winą jest to (mówmy szczerze), że w ogóle jeszcze są, że nie dali się jak dotąd wytracić, że jest ich w związku z tym za dużo i że mają nie taką jak trzeba mentalność, zasady gospodarowania, sposób życia. Ukuto nawet dla ich określenia złowrogą metaforę

„balastu” transformacji, a więc zbytecznego ciężaru, czegoś co spowalnia marsz całego społeczeństwa ku nowej wersji świetlanej przyszłości. Ta metafora jest złowroga, gdyż kryje w sobie odroczone instrukcję działania - w pewnym momencie przyjść może bowiem komuś do głowy decyzja usunięcia balastu. Słowa służą wszak nie tylko do opisywania tego, co się już stało; równie dobrze mogą być zapowiedzią przyszłości, pogrożką, wreszcie - instrumentem konkretnych działań, jak o tym przekonują filozoficzne dociekania Austina i innych badaczy języka nad tak zwanymi performatywami, wypowiedziami spełniającymi.

Trybuni transformacji, wpływowe media, politycy oburzają się więc, że polskie przemiany nie dokonują się zgodnie z podręcznikowymi definicjami demokracji i wolnego rynku; przyjmując obcy, zewnętrzny punkt widzenia, biorąc za wzór cudze realia wyrokuje nader krytycznie o polskiej rzeczywistości: jest ona hybrydalna, niespójna, pałubiczna i w ogóle jakaś taka zapyziała. Zapominają przy tym, że chociażby owa tak tępiona przez specjalistów od poprawnego myślenia „megalomania” jest elementem wręcz niezbędnym dla zdrowia i dobrej kondycji społeczeństwa. Co pisał Bystron w swojej pracy na ten właśnie temat? Że o ile przekonania o wartości czy nawet nad-wartości własnego społeczeństwa są wytwarzane w obrębie potocznego myślenia i narodowych mitologii, a więc niejako w

sposób naturalny - nie stanowią zagrożenia, co więcej - są wręcz niezbędnym elementem do prawidłowego życia zbiorowości, zwłaszcza w momencie kiedy staje ona przed nadzwyczajnymi wyzwaniami. Dopiero gdy zaczynają być produkowane „syntetycznie” przez ideologów, przywódców, gdy zaczynają być ujmowane w systemy i teorie naukowe - wówczas stają się toksyczne. Co pisał Ortega y Gasset o dwu sposobach samooceny przez jednostki i całe narody? Pierwszy nazywał jaźnią spontaniczną i polegać ma ona na tym, że poszukuje się prawdy o sobie „rozpoznając się w jestestwie swoim”, jak twierdzili romantycy. Opinie innych nie mają tu żadnego wpływu na to, co naród (czy jednostka) myśli o sobie, jakie wartości sobie przypisuje. Drugi to samoocena odbita, zapośredniczona przez oceny innych: taki człowiek (czy cały naród) żyje wówczas jakby na peryferiach innych dusz i nie posiada samodzielnego oglądu siebie ani swoich spraw. Odnieść można wrażenie, że rysuje się w naszym aktualnym dyskursie publicznym niebezpieczne przechylenie w stronę tej samooceny odbitej, ciągle więc żyjemy niejako na cudzych peryferiach.

Sądzę, że właśnie socjologowie powinni zachować szczególną czujność wobec tego rodzaju zjawisk i dbać o to, by przynajmniej oni sami starając się poznawać własne społeczeństwo nie sytuowali się poza czy ponad nim, lecz

zachowali ową elementarną „więź pokrewieństwa”, o którą upominał się Platon.

Ze swojej strony widzę dwie drogi, które mogą nas przybliżyć do tego ideału. Jedna z nich odwołuje się do podstawowej powinności badacza, a mianowicie do wymogu zapoznania się z dorobkiem naukowym na dany temat, przy czym chodzi mi tu przede wszystkim o to, co o polskim społeczeństwie powiedzieli dotąd polscy badacze - zarówno całkiem niedawno, jak i wiele lat temu. Polska socjologia liczy bowiem już około stu lat, warto więc znać ją i korzystać z jej dorobku. Tymczasem wydaje się, że nadal „więcej cenimy i lepiej znamy twórczość naukową obcą niż własną, narodową”, chociaż prowadzi to do tego, że zaczynamy patrzeć na świat i na samych siebie „obcymi oczyma”, jak pisał wiele lat temu Franciszek Bujak, prekursor polskiej socjologii wsi. Spełnienie zgłoszonego tu postulatu nie jest zbyt trudne. Wymaga w gruncie rzeczy tylko tego, co Fryderyk Nietzsche kpiąc z niemieckiej profesury, nazywał „cierpliwością pośladków”. Tak naprawdę jest to ważna, a zapoznawana zaleta pracowników nauki.

Druga droga wymaga natomiast popisania się szczególnymi talentami a mianowicie intuicją, wyobraźnią socjologiczną, czyli umiejętnością wyboru spraw naprawdę istotnych w danym momencie i spojrzenia na nie w odpowiedni

sposób. Niestety, bywa i tak, że socjologowie zamiast poszukiwać na własną rękę prawdziwych problemów społecznych, dają się w tym wyręczać mediom nagłaśniającym rozmaite zjawiska. Zwracał na to uwagę kilka lat temu Profesor Władysław Kwaśniewicz apelując o przywrócenie do łask wzgardzonej metody monograficznej, zapewniającej socjologowi bezpośredni, autentyczny kontakt z materią społeczną. Bywa też tak, jak pisze Bourdieu w swoim zaproszeniu do socjologii refleksyjnej, że socjologowie podchwytyją skwapliwie „zadane” im przez polityków kwestie, które nie będąc prawdziwymi zagadnieniami naukowymi, są w istocie modnymi, odpowiednio nagłościonymi „problemami społecznymi przemycionymi do socjologii”.

Otóż chciałabym Państwa przestrzec: nie zawsze najważniejsze rzeczy dzieją się tam, gdzie najgłośniej. Czasami to, co decydujące rozgrywa się w całkowitym milczeniu. Społeczeństwo nie od razu werbalizuje swoje dążenia, nie zawsze przybierają one postać składnych wypowiedzi. Pierwsze etapy tego procesu to, jak pisał Ludwik Krzywicki, bardzo często „nieświadome bełkotanie” przechodzące stopniowo w fazę mowy artykułowanej. Dopiero później pojawiają się porywające ideologie, które wreszcie wyrodną w slogany, jakimi przerzucają się na co dzień politycy. Te występujące na powierzchni życia społecznego zjawiska, te bezwstydnie jawne

zdarzenia i szumne dysputy to częstokroć nic więcej niż piana pojawiająca się na powierzchni ukrytych głębiej, prawdziwych faktów. Dotrzeć do nich, odnaleźć, wskazać te naprawdę ważne mechanizmy i procesy - oto zadanie godne profesjonalnego socjologa, który nie zadowala się pozorami a udział w debacie publicznej pozostawia tak zwanym elitom opiniotwórczym.

Swojego czasu E. Burke, angielski filozof konserwatywny przyrównał angielskie społeczeństwo do łąki, którą „pół tuzina świerszczy napęlnia swym natrętnym cykaniem” podczas gdy „tysiące wielkich krów odpoczywa w cieniu brytyjskiego dębu, przeżuając pokarm i milcząc.” „Proszę sobie nie wyobrażać - kontynuował Burke - że te hałaśliwe istoty są jedynymi mieszkańcami łąki, że musi ich być bardzo dużo lub że są one czymś innym niż małymi, zasuszonymi, podskakującymi, znikomymi choć głośnymi i kłopotliwymi insektami o niedługim żywocie.” A zatem proszę nie utożsamiać społeczeństwa z jego przywódcami, elitami i trybunami, ani faktów społecznych z dyskursem, z tym co wypowiedane, o czym się mówi, o co toczą się głośne spory. Natomiast umiejętności - czy może raczej daru - wsłuchania się w ciszę, rozumienia tego o czym jeszcze milczy społeczeństwo – życzę Państwu z całego serca.